POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 13 WRZEŚNIA 1930 ROKU NR. 37

ANDRZEJ STRUG

30)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Doktór filozofji siedział w fotelu przed fortepianem, nakryty pledem i nie wstał na jego powitanie; podał mu lewą rękę, prawy rękaw wisiał pusty od samego ramienia. Podniósł smutne oczy i przemówił dziwnie miękkim, kobiecym, aksamitnym głosem:

— Pan wybaczy, że nie wstaję, straciłem władzę w nogach. Czem mogę służyć? Z kim mam przyjemność? Proszę siadać...

Claude przedstawił mu się, jak należało i spostrzegł, że w bladej nikłej twarzy pana Wetzlera odrazu po pierwszem jego słowie zagasł senny miękki uśmiech. Twarz zwarła się i zastygła, stała się zaciętą. Oczy pociemniały. Zasłonił twarz ręką i natychmiast ocknął się.

— Pan daruje. Wyrwał mnie pan z mego zapamiętania. Jestem muzykiem i siedzę właśnie nad moją symfonją. Natychmiast panu służę. Od panny Emmy... Tak, a przedtem?

— Zegarmistrz Hoen.

— Dobrze, dobrze. A któż tam jeszcze?

— To było wczoraj wieczorem, ta desperatka pani Sempach.

— Desperatka? To jest szelma, kosztuje nas bardzo drogo. To jest szelma, ale trzymamy ją mocno, mamy na nią brzydkie dowody. Ta nie zdradzi.

— Jednak cały ten wasz aparat wydaje mi się mocno niepewny.

— W naszym zawodzie nic niema zupełnie pewnego. Jakoś idzie. Trudno zmieniać machinę w ruchu. Ulepszenia by nas zdezorganizowały. Dobrniemy i tak do końca. Więc pan dalej, a raczej wyżej do tamtego... Do samego pana... Właściwie do kogo?

— Do pana van Trothen.

— Tak jest, dobrze. Pan może prosto z Francji? Ach, jakże dawno nie mówiłem w ludzkim języku!

Dźwięk mowy ojczystej uderzył w Claude'a swym czarem. Od dwuch miesięcy nie słyszał francuskiego słowa. Ale wytrwał, uśmiechnął się tylko.

— Słusznie! Słusznie! Ale w istocie to komedja.

— Tę komedję mógłby podsłuchać bodaj ordynans pana pułkownika, albo i on sam.

— Herr Oberst jest na froncie i ostrzeliwuje w tej chwili nasze pozycje na Chemin de Dames, a ordynans to wtajemniczony, mój rodak Alzatczyk. Bez niego nie dałbym sobie rady. Nie potrzebuje się pan śpieszyć, van Trothen zjawia się u siebie dopiero o drugiej.

— Nie chcę panu przeszkadzać w pracy.

— Na dzisiaj już mi pan przeszkodził. Ale mam czas. Zagrałbym panu, niegdyś byłem wirtuozem, ale cóż... Wie pan, jaki jest tytuł mojej symfonii? „La statue de la ville de Strasbourg". Ta z placu Concorde, co roku zakwefiana kirem w rocznicę klęski, ta, przed którą tego dnia klękają i modlą się dzieci francuskie. Myśl z przed wojny, marzenie szczepu w niewoli, odrąbanego od macierzy. Ta idea i jej wyraz muzyczny zawiodą we wrażeniu, gdy Alzacja będzie wolna. Realizacja marzenia będzie tak brutalnie radosna, że w jednej chwili zapomną ludzie o wszystkich swoich cierpieniach, ofiarach, łzach, tęsknotach swoich ojców. I biada temu, kto im to zechce przypomnieć! Wiem, że ta symfonja, dzieło mego życia, będzie zmiażdżona przez zwycięstwo. Bo cokolwiek rozprawiają i piszą o tem mędrcy, niema czystej muzyki...

— Cóż, nasze zwycięstwo jeszcze za górami, za lasami... Kto wie, może jeszcze przez sto lat dzieci francuskie będą klękały na placu de la Concorde, a w każdem pokoleniu zrodzi się jakiś Déroulède, który będzie co rok perorował pod posągiem Strasburga...

— Pociesza pan biednego muzyka...

— Nie śmiałbym żartować.

— Owszem, proszę, sam wiem, że jestem śmieszny manjak. Jednak zwycięstwo będzie. Niemcy gonią ostatkiem tchu. Jak wygląda Berlin? Ale zanim zginą, sprobują się odegrać i na to poświęcą wszystko bez reszty w rozpaczliwem natarciu — wówczas trzeba nam się trzymać, bo możemy utonąć przy samym brzegu. Amerykanie jeszcze za oceanem. Wpadł nam w ręce plan potężnej ofensywy we Flandrji, obejście prawego skrzydła angielskiego, co oznacza wrzucenie Anglików do morza. Boulogne, Calais stają się podstawą operacji łodzi podwodnych i ogłodzona Anglja podpisze pokój. A my zostaniemy sam na sam z całą potęgą niemiecką, wzmożoną przez sto dywizji, zwolnionych ze wschodniego frontu. Lada dzień w Brześciu stanie pokój. Po Caporetto i po tym pokoju Niemcy poraz pierwszy w tej wojnie będą mogli rzucić wszystkie swoje siły na nasz front. Wiosna, która nadchodzi, to najgroźniejsza faza wojny; jeżeli to przetrzymamy — zwyciężymy. A co słychać u nas? Co w Paryżu?

— Dawno nie byłem w kraju. Co słychać? Ciężko. Francuska struna napięta do ostateczności, raz już nawet nadpękła latem zeszłego roku, przeżyliśmy ciężkie przesilenie w armji. Nie był to głębszy kryzys moralny, a raczej załamanie się dyscypliny. Na szczęście...

— Na szczęście Niemcy dowiedzieli się dopiero w trzy tygodnie potem, gdy kryzys już minął, że mię-

dzy Soissons a Paryżem były w rezerwie tylko dwie dywizje jako tako pewne. Gdyby uderzyli w nas — doszliby do Paryża. Ale nie wiedzieli.

— A dlaczego nie wiedzieli? Bo nie znalazł się w całej zbuntowanej VI armji na sto tysięcy żołnierzy ani jeden, któryby im to był powiedział. Bo żołnierz francuski nie ciskał broni, jak dziki moskal, domagał się tylko swoich ludzkich praw, przepisowych odpoczynków, sprawiedliwych zmian i wreszcie jakiegoś sensu w prowadzeniu wojny. Nauczył on rozumu naszą wielką kwaterę po zbrodniczych, bezcelowych hekatombach ofensywy generalissimusa Nivelle... kiedy sześćdziesiąt tysięcy ludzi padło — za nic i o nic.

— A teraz?

— I teraz i zawsze żołnierz francuski wytrwa do ostatka sił i ponad siły. Może ulegnie, ale póki tchu w piersi, nie popuści z ręki broni — ja za dobrze znam naszego żołnierza.

— I ja go poznałem. Nie odrazu! Jako pruski lejtenant na prawoskrzydłowej armji von Klucka 5 września szedłem w przedniej straży IV korpusu generała von Gronau i nocowałem we wsi Escardes. Gdzie to było? Trzydzieści kilometrów za Marną! Byłem najpewniejszy, że Paryż już wzięty. Ta noc... A nazajutrz...

— I to był cud...

— Cud narodu! Cud wodza! A w istocie — cud francuskiego żołnierza. Wówczas dopiero mogłem usiłować przejść do was, ja, niewierny Tomasz. Postrzał w ramię, zabrano mnie. A w parę dni już pod Soissons, gdy francuskie armaty biły w masę naszych taborów na pontonowych mostach przez Aisne, ciężki pocisk rozbił moją budę sanitarną i poraził mi krzyże...

— Wówczas byłem i ja tam, gdzieś w tych stronach, niedaleko.

— Tak zakończyłem wojnę. Ale po roku wróciłem na front bojowy i jakoś trzymam się do dziś dnia.

Rozgadali się. Dopiero po godzinie spostrzegł się Claude, że mówią w najlepsze po francusku. Odurzyły go przesłodkie dźwięki mowy ojczystej. I nagle wszystko wydało mu się snem. I ten Berlin, i alzatczyk dr. Wetzler wraz ze swoją symfonją, i patrjota niemiecki dr. Ossian Helm z Ameryki. I Mannheim-Ludwigshafen nad Renem, i profesor Wager, i jego córka Rita. I cała wojna światowa...

Zamroczenie trwało jedną sekundę, ale Claude uląkł się sam siebie. Otrząsnął się z tego natychmiast, wstał, pożegnał się przesadnie zimno i poszedł.

* * *

Dzień ciepły, mglisty. Berlin tonął w błocie i witał odwilż jak błogosławieństwo boże. Mróz, który trzymał od dwuch tygodni, zmordował masy wygłodniałe, źle odziane, bez węgla. Zaroiło się na ulicach. Wszyscy zdawali się biedz kędyś na żer, każdy w swoją stronę, gdzie miał coś upatrzonego, przyobiecanego, lub przypuszczalnie możliwego do zdobycia lub wyszachrowania. Ta pogoń za rzeczami pierwszej, pierwotnej potrzeby narzucała na twarze przechodniów tępą zapalczywość. Na ulicach wspaniałej stolicy zdawały się wracać czasy pra-pra-przodków, gdy panowała tu głucha puszcza, a w niej dziki zwierz, za którym uganiało się plemię myśliwców, odzianych w niewyprawne, kudłate skóry, z krzemiennemi toporami. Jedyną ich myślą było ratować się od śmierci głodowej — zdobyć jedzenie. To samo jest teraz. Tłum ubrany był nikczemnie, klekotały po chodnikach drewniane wojenne trepy. Ogromna przewaga kobiet czyniła tę nędzę jeszcze bardziej jaskrawą, jakby wystawioną na urągliwy pokaz. Szmaty wypłowiałych chustek, kapelusze, nadające się do śmietnika, wyjedzone futra, zaszargane, wystrzępione spódnice, salopy, uszyte ze zdartych obić meblowych, z fantastycznych kotar, z pasiastych chodników i z czego się tylko dało. Człowiek lepiej ubrany zwracał uwagę i tylko wojskowi, zarówno oficerowie jak żołnierze, poprawni od stóp do głów w swoich polowych płaszczach, obszytych płótnem pikielhaubach i lśniących butach, zdawali się być jakimś innym rodzajem ludzkim, plemieniem panów wśród poddanej, nędznej hołoty.

Eva, idąc przez Kaiser Wilhelmstrasse, wstydziła się swych karakułów. W jej dobrem sercu zadrgało współczucie dla tych pokracznych, poniżonych kobiet, opuszczonych żon, matek, córek, skazanych na wszystkie utrapienia duszy i na nędzę, głód, poniewierkę. Bolały ją zlikwidowane, puste sklepy. Gdy mijała kolosalne hale targowe, niegdyś centrum ruchu i zbiegowiska, a teraz szczelnie zamknięte i bezludne, zrozumiała tragedję Niemiec. Ani z przesadnych opowieści, ani z agitacyjnych artykułów gazet paryskich, które wciąż trąbiły o dogorywaniu Niemców, nie miała pojęcia o istotnym stanie rzeczy. Było gorzej. Wzbierały łzy na widok wynędzniałych, sinych dzieci, o zatroskanych, chorych oczętach — patrzyła w twarze ludzkie, spotykała widma, napiętnowane przez śmierć, oblicza zapadłe, pełne goryczy, złości, lub powleczone nudą ostatecznej obojętności, gotowej na wszystko, nie spodziewającej się już niczego na świecie.

Każdy, każdy z tych ludzi dźwigał swoje brzemię żałoby. Nie na darmo od półtora roku dzień w dzień z zachodu i ze wschodu nadchodziły krwią pisane komunikaty, świadectwa niemieckiej chwały. Uzbierało się tego i teraz, jak Niemcy długie i szerokie, nie było rodziny i nie było domu, na któryby nie spadł zaszczyt udziału w narodowej chwale. Tchnienie śmierci ciągnęło ulicami wraz z tym tłumem, snuło się wszędzie, przenikało przez szyby i mury. Zdawało się, że pośród żyjących krążą niewidzialne duchy tych, którzy nigdy nie wrócą. Eva ulękła się swej wizji. Tego co teraz nie czuła po tamtej stronie frontu, ani w Rosji, ani w Anglji, ani we Francji, ani we Włoszech. Tutaj nad wszystkiem leżał potworny ciężar wojny, na każdym kroku znać było śmiertelny wysiłek narodu, który musiał stawić czoło całemu światu. Zdumiewała potęga tego uporu.

Bywała w domach niemieckich i kiedy rozmawiała z dostojnikami państwa, zarówno oni, jak jakaś skromna, cicha matka w żałobie po synu, jak pierwsza lepsza żona oficera, żyjąca od trzech lat w niepokoju o życie męża — wszyscy okazywali wolę do walki i wiarę w ostateczne zwycięstwo, coprawda już w tej dobie bez aneksji i odszkodowań. Nie słyszała tu jeszcze krytyki ani szyderstwa, ani paryskich dowcipów. Podziwiała to, wiedząc, jak wycieńczone, jak osaczone są Niemcy, jaka straszliwa nawała ciągnie na nich z za oceanu.

— Jacy wy spokojni, nie widziałam tego nigdzie z tamtej strony okopów.

— Trudno — odpowiedział jej na to stary wielbiciel z przed wojny, generał von Sittenfeld z Ministerstwa Wojny — teraz walczymy o samo nasze istnienie. W takiej potrzebie dobywa się na jaw to, co w narodzie najlepsze. Nie czas na krytykę, na oskarżenia, na czcze biadania. Zresztą niech by kto sprobował... U nas się to tępi. Bo my musimy zwyciężyć, zanim tamci nadejdą. (D. c n.).

MAYERLING

19)

Innego dnia, podczas gdy omawiał jakiś plan, w gorączkowem podnieceniu — obecnie kładł we wszystko gorączkowe podniecenie — zatrzymał się nagle, i zaczął śmiać w dziwny sposób. Marja zaniepokoiła się.

— Kochanie — rzekł — czy nie jestem głupi... czy trzeba tyle zachodu, by uciec przed światem i należeć do siebie na zawsze?

Spoglądała na niego, pragnąc wyczytać najgłębszą myśl kryjącą się w duszy Rudolfa.

Dodał tylko tajemniczym tonem:

— Wiem, że gdziekolwiek się udam, zawsze będę mógł liczyć na ciebie.

Marja przytuliła się do niego. Z wszystkich tych powiedzeń, mało wyraźnych i nie dających się powiązać z sobą, Marja dowiedziała się jednej rzeczy: bez względu na to, jakiem będzie postanowienie Rudolfa, ona pozostanie przy nim. Wszystko kończyło się jednem: ich zespoleniem.

Ta myśl napełniała serce Marji bezgraniczną radością. Nie chciała rozumować, ważyć możliwości, roztrząsać i obliczać perspektyw przyszłości. Pośród wszystkich otaczających ją niebezpieczeństw czepiała się rozpaczliwie jednej pewności: Rudolf kochał ją ponad wszystko i nie chciał rozstać się z nią.

* * *

Udali się na przejażdżkę, do Schoenbrunn. Oddawna już pragnęła Marja odwiedzić park, w którym Rudolf bawił się będąc dzieckiem, a do którego publiczność nie była dopuszczana.

Pominąwszy tym razem środki ostrożności, jakie przedsiębrał zwykle, Rudolf czekał w otwartym powozie Bratficha, przy rogu Marokanergasse, o kilka kroków od Salezianergasse.

Marja, po opuszczeniu domu, w towarzystwie hrabiny Larisch, rozejrzała się trwożnie, gdyż za każdym razem, idąc na spotkanie z Rudolfem, bała się, ażeby jej nie śledzono.

Ulica była opustoszała. Jedynie dwaj robotnicy z podniesionemi kołnierzami u palt szli zwolna, w kierunku Trauengasse. Hrabina wsiadła razem z Marją do powozu Bratfischa i wysiadła przy następnym postoju dorożek. Bratfisch zaciął konie i popędził do Schoenbrunn. Zatrzymał się niedaleko wejścia, Rudolf i Marja udali się pieszo do parku.

Przechodząc przez furtkę, Marja odwróciła głowę. Ujrzała, o jakieś sto kroków, dwuch mężczyzn, przechadzających się mimo niepogody. Kołnierze przy paltach mieli podniesione; ich wzrost i budowa przypominała Marji dwuch robotników z Salezianergasse.

— Jesteśmy śledzeni! — zawołała żywo.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu, Rudolf nie zaniepokoił się, lecz uczynił ruch pełen zniechęcenia, i rzekł obojętnym tonem:

— Nic się na to nie poradzi.

Nie obejrzał się nawet.

Marja była tem zmrożona. Jakto, policja wiedziała o ich stosunkach! Być może, oddawna już! Śledzono ją, i nie spostrzegła tego dotychczas! Ci dwaj mężczyźni, po powrocie do Wiednia, złożą raport. Na czyjem biurku figurować będzie? Kto go przeczyta? W czyje ręce przejdzie następnie? Może dotrze do cesarza? Uczuła nagle wszystkie sprzysiężone moce cesarstwa, skierowane przeciwko niej, a była przecież tak słaba i bezbronna. Jak walczyć? Uduszą ją, a ona nie będzie w mocy wydać okrzyku, wołającego na pomoc!

Rudolfa zdziwiło milczenie swojej małej przyjaciółki. Zapytał o powód. Nie chcąc go zaniepokoić i zepsuć swojemi obawami spaceru, z którego sobie obiecywała tyle przyjemności, uśmiechnęła się.

Szli teraz bocznemi alejami parku.

— Pokaż mi, gdzieś się bawił, gdy byłeś mały? — zapytała.

Rudolf roześmiał się.

— Nie bawiłem się długo. W bardzo wczesnym wieku powierzono mnie opiece generała Gondrecourta, a ten nauczył mnie surowej dyscypliny wojskowej. I, wiesz moje kochanie, można burzyć się przeciwko temu, można uważać to za absurdalne, przykre, dziwne, lecz gdy w dziecinnych latach wejdziesz w tryby tego mechanizmu, niepodobna już wyzwolić się z nich. Jestem dojrzałym mężczyzną, posiadam kulturę, poglądy liberalne, będące o sto mil od zapatrywań generała Gondrecourta. A jednak po dwudziestu latach posiada jeszcze wpływ na mnie. Słyszę jego ostry głos i gdy pada rozkaz, staję na baczność. Widzisz kochanie, nie wyzwoliłem się dotychczas i pozostałem żołnierzem... Straszne! — zakończył wesoło — będziesz kochać żołnierza?

Marja ujęła go za rękę.

— Mój biedny mały żołnierzu, nie miałeś dzieciństwa, to ja muszę nauczyć cię dziś śmiać się i bawić.

Zapadał mrok. Wrócili do Wiednia.

Gdy Marja została sama, ogarnęło ją znowu uczucie trwogi. Ich przyjaźń była już znana. Ile czasu minie, zanim ta wiadomość rozniesie się po Wiedniu i dotrze wreszcie do uszu matki? W jaką stronę się obracała, zewsząd groziły bezpośrednie katastrofy.

A jednak, trzeba było rozstać się z Rudolfem, który był jej jedyną podporą. W ostatniej chwili Rudolf opóźnił swój wyjazd do Abbazji o dwadzieścia cztery godziny. Miało to być dowodem wielkiej miłości.

IV

ŻELAZNA OBRĄCZKA

Do wszystkich obaw i trosk dołączyła się nowa troska. Czyż kochające serce mogło nie lękać się tego sam na sam, w Abbazji? Czy żona Rudolfa nie uczyni wszystkiego, co w mocy kobiecej, by zdobyć ponownie małżonka?

Marja otrzymywała czułe listy. Czy wystarczały, by uspokoić ją? Powtarzała sobie słowa Rudolfa, któremi przyrzekał złączyć ich istnienia. Słowa te tak piękne i pełne ognia, gdy je wymawiał, zdawały się gubić w atmosferze Salezianergasse całe swoje ciepło. Brzmiały teraz martwo, bezdusznie, nie promieniejąc wcale. Nigdzie nie mogła znaleść pociechy. Rudolf rozstając się z Marją ostrzegł ją przed hrabiną Larisch. Wszelkie zwierzenia mogły pociągnąć za sobą wiele niebezpieczeństw.

Wrócił po dwutygodniowej nieobecności, bardziej jeszcze zakochany, niż przed odjazdem. Rozłąka z Marją była nie do zniesienia. Marja wnosiła świeżość w jego rozgorączkowane życie. Mówiąc dosłownie, był jej spragniony. Ich wzajemny stosunek był jeszcze czysty; budziła w nim fizyczne pożądanie. Lekka, powierzchowna rozmowa z tą, tak młodą i piękną dziewczyną, jej śmiech, niewinne pieszczoty, podniecały zmysły arcyksięcia. Nie mógł dłużej żyć bez niej!

Być może, początkowo, zamierzał zabawić się nią, jak tyloma lekkomyślnemi kobietkami, które wiedziały poco przychodziły do niego, i którym nie należało czynić zawodu. Lecz od pierwszego spotkania zrozumiał, że Marja jest innym typem kobiety, i — znacznie cenniejszym.

Od tej pory, oczarowany tem, co nazwał cudem, szanował Marję; a teraz przysiągł sobie, że bez względu na wszystkie przeszkody, uczyni z niej swoją żonę.

Prawie natychmiast po powrocie do Wiednia musiał udać się do Pragi. Widział Marję tylko zdaleka w operze. Zręczna i sprytna hrabina Larisch Wallerse przyprowadziła mu ją w dwa dni potem do Hofburgu. Było to w jakąś niedzielę, pod wieczór.

Marja goniła ostatkiem sił. Przyrzekła sobie, że ukryje swoje zmartwienie przed człowiekiem nieszczęśliwym, któremu konieczną była radość i wesele. Lecz tym razem, rozłąka była długa i bolesna. Gdy ujrzała Rudolfa, zawiodły ją siły i przestała panować nad sobą.

Nie mogąc powstrzymać łez, padła w ramiona swojego ukochanego, i zawołała.

— Więc nigdy nie będę razem z tobą? Nie żyję już!

Akcent jej głosu, rozdzierające uczucie głębokiej wciąż zagrożonej miłości, wreszcie bliskość Marji, którą tulił w ramionach, poniosła Rudolfa. Zapomniał o tem, co przysiągł sobie. I Marja, zatopiona nagle w nowem szczęściu, nie stawiła żadnego oporu.

* * *

Od dnia, w którym należeli do siebie, Rudolf przekonał się, że niema już chwili do stracenia, i że musi zająć się natychmiast zapewnieniem ich wspólnej przyszłości. Cały świat, sprzysiężony przeciw nim, nie zdoła rozłączyć ich. Pora była na czyny, nie na słowa. Rzucił się więc w wir czynów.

Tego samego wieczoru, wróciwszy z teatru, wystosował list do papieża. Wyłożył w nim swoje stosunki z żoną, jej niezdolność dania dziedzica, koronie Habsburgów. Następnie opisał poważne nieporozumienia, grożące skandalem: albo go żona opuści i wróci do Belgji, albo też on, nie mogąc znieść dłużej nieznośnego pożycia małżeńskiego, rozstanie się z nią raz na zawsze. Niech Jego Świątobliwość rozważy, jak złowróżbne konsekwencje wynikną stąd dla domu Habsburgów, dla Państwa i dla kościoła. Błagał przeto Jego Świątobliwość, ażeby zechciała anulować jego związek z arcyksiężną Stefanją.

Ten oryginalny list, dość zręcznie zredagowany — mimo że był pisany w chwili największego podniecenia — opuścił Wiedeń nazajutrz. Wysłał go najpewniejszy z przyjaciół.

Gdy Rudolf uspokoił się, i gdy mu wróciła zimna krew, list ten wydał się nieco ryzykowny.

„Niema nawet jednej szansy na dziesięć, że otrzymam to, o co proszę — powiedział sobie — ale gdyby nawet była tylko jedna na tysiąc, muszę spróbować".

Miał udać się trzeciego dnia do Budapesztu. W przeddzień wyjazdu poszedł w sekrecie do swojego kuzyna arcyksięcia Jana Salvatora.

Od owego dramatycznego wieczoru nie widzieli się więcej. Ten przykry epizod położył koniec ich stosunkom; a przecież byli pod wieloma względami podobni do siebie i stworzeni by się rozumieć, choć w innych punktach, niemniej ważnych, różnili się zasadniczo. W tym dniu gorączka i dawna przyjaźń, łącząca ich, zatarła wszelkie różnice. Rozmawiali z sobą szczerze i otwarcie. Poruszyli, oczywiście, zagadnienia polityczne, bowiem obydwaj nie należeli do pospolitych śmiertelników, i nawet ich życie prywatne i najściślej osobiste było, niestety, związane z mocarstwem i sprawami państwa.

Arcyksięcia Jana przeraziła bladość i zdenerwowanie kuzyna, który zdawał się gonić ostatkiem sił. Gdyby ktoś niedyskretny podsłuchiwał pod drzwiami, to byłby niewątpliwie przerażony, słysząc powtarzające się słowo śmierć, które wydawało się być motywem tej rozmowy.

Żegnając Rudolfa, Jan Salvator ucałował go serdecznie i rzekł:

— Ty jeden zatrzymujesz mnie tutaj, wiedz, że gdybyś zniknął, nie siedziałbym ani dnia dłużej w tym przeklętym kraju.

W sobotę, dziewiętnastego stycznia, Rudolf wrócił rankiem z Budy. Naznaczył Marji spotkanie u siebie w Hofburgu.

Marja była bardzo zdziwiona, gdy po rozstaniu z hrabiną Larisch, Loschek prowadził ją, przez inne korytarze i salony, niż te, któremi szła zwykle do apartamentów Rudolfa.

— Arcyksiąże przyjmuje dzisiaj, jest w sali audjencji — rzekł stary sługa.

Wprowadził Marję do wielkiej komnaty, o boazerjach w stylu Ludwika XV-go. Wszystko tu było białe i złote.

Rudolfa nie było w pokoju. Po kilku chwilach Marja usłyszała głosy za parawanem. Otworzyły się drzwi. Rudolf podbiegł do niej.

— Mam dzisiaj bardzo dużo nudnej roboty — rzekł. — Wybacz mi, moje kochanie, ale pragnąłem widzieć cię natychmiast, więc poprosiłem cię tutaj. Muszę przyjąć jeszcze jedną deputację, a potem będę wolny... Tymczasem, obejrzyj tę rzecz, którą przygotowałem dla ciebie.

Wyjął z kieszeni obrączkę żelazną. Była wąziutka i starannie odrobiona.

— Zajrzyj do wnętrza. Wiesz, że napisy, to, moja mocna strona.

Marja przeczytała:

„13 stycznia 1889, I. L. V. B. I. D. T."

— Rozumiem jedynie datę, i kocham ją — rzekła rzucając czarujące spojrzenie na Rudolfa. — Wytłomacz mi resztę.

Rudolf przeczytał głębokiem i skupionem głosem:

— *„In Liebe vereint bis in dem Tode".* (W miłości złączeni aż w śmierci).

Marja przytuliła się do niego. Nie mogła mówić. Słowa tego czarodzieja wibrowały w niej, wywołując obraz, w który spoglądała, nie odrywając wzroku. Potrafił przyozdobić śmierć, i nadać jej dziwnego blasku, zaślubiając ją miłości.

Podniosła wzrok na Rudolfa, który tulił ją do siebie.

(D. c. n.).